

# Stefan Kawyn

---

## Z teki autografów Józefa Korzeniowskiego

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 23, 205-211

---

1967

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STEFAN KAWYN

## Z TEKI AUTOGRAFÓW JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

Z zasobów rękopiśmiennych autora *Kollokacji*, znajdujących się w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, wydobywamy dwa fragmenty utworów o różnej treści, przynależnych do różnych rodzajów literackich, z różnych zresztą pochodzących czasów. Badacza zastanawia nie tylko ich zawartość, ale także — zwłaszcza przy jednym fragmencie — to, co można by określić jako warsztat pisarski. Zachowane bowiem okruszki spuścizny literackiej J. Korzeniowskiego nasuwają wiele spostrzeżeń, szczególnie dotyczących kształtowania dzieła z surowca czy to z rzeczywistości konkretnej, autorowi współczesnej, czy też z przeszłości historycznej.

Fragment autografu pt. *Władysław Herman. Dramat historyczny* (sygn. 6546) nie ma jeszcze zewnętrznych cech dramatu: scen, aktów, obrazów i didaskaliów; stanowi on zwięzłe naszkicowany plan sytuacji politycznej w Polsce po tajemniczym wyjeździe Bolesława Śmiałego i w czasie rządów Władysława Hermana. Ale notując skrzątnie materiał historyczny na podstawie znanych mu źródeł i zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy o tym okresie dziejów Polski, Korzeniowski kreśli już uwagi znamienne dla dramatopisarza: w substancji historycznej widzi już niektóre sceny dramatyczne i te momenty zaznacza w nawiasach — jest ich osiem: 1) scena nałożnicy królewskiej, matki Zbigniewa, z Władysławem Hermanem; 2) jej kłótnia z królową Judytą zakończona przekleństwem bezpłodności; 3) scena pożegnania Mieszka, syna Bolesława Śmiałego, „właściwego dziedzica korony”, z królem węgierskim Belą I i babką Ryksą, u których wychowywał się, „a może i z kochanką jaką” przed powrotem do Polski; 4) scena — już w Polsce — oddania Mieszkowi dóbr jako „drobne wynagrodzenie za utraconą koronę i niechętnie przyjęcie tego daru”; 5) scena między Władysławem Hermanem a królową Judytą; jej przedmiotem jest zmartwienie króla z powodu bezpłodności żony. Autor zaznacza, że scena ta należy do aktu III;

6) scena z Lambertem, biskupem krakowskim i z małżonkami, tj. królem i Judytą: biskup doradza wysłać poselstwo z darami do relikwii św. Idziego w Langwedocji; 7) scena powrotu posła, Piotra, kapelana królewskiego, z wieścią, że „królowa poczęła”, co na dworze królewskim wzbudza radość; 8) scena ostatnia: król dowiaduje się o śmierci żony przy urodzeniu syna, Bolesława, panowie i biskup Lambert pocieszają króla. Dramat kończy się wystąpieniem matki Zbigniewa z przekleństwem i z przepowiednią, że nowo narodzony potomek królewski stanie się bohaterem ale zarazem i zgubą kraju przez podzielenie go na dzielnice między swych synów.

Tym tragicznym obrazem przyszłości, przypominającym wróżbę Kassandry z *Odprawy posłów greckich*, autor zamyka dramat z burzliwych dziejów po wyjeździe Bolesława Śmiałego. Czasy pierwszych Piastów, walki o prymat dzielnic, starcia między dwiema liniami piastowskimi: małopolską i wielkopolską pociągały wyobraźnię Korzeniowskiego podobnie jak i innych dramaturgów naszego okresu klasycystycznego, dążących do stworzenia tzw. „tragedii narodowej”, by wymienić jej pierwszych przedstawicieli: W. Rzewuskiego, J. Wybickiego, F. Karpińskiego (autora tragedii z czasów Władysława Hermana pt. *Judyta królowa polska* 1792), J. U. Niemcewicza i wielu innych. Korzeniowski napisał tragedię pt. *Bitwa nad Mozgawą* (1827), nie drukowaną dotąd w całości<sup>1</sup>, tragedię pt. *Mnich* (1826) z legendarnych dziejów Bolesława Śmiałego, króla-pokutnika, drukowaną w r. 1830; w tym też prawdopodobnie czasie planował dramat o Władysławie Hermanie.

Jeżeli *Mnich* (surowo zresztą oceniony przez Mochnackiego jako „dziecinna kompozycja”) był świadectwem pewnego przechylenia się autora w stronę szekspirowskich, jeśli nie charakterów, to przynajmniej efektów scenicznych, a *Bitwa nad Mozgawą* dowodziła krzyżowania się wpływów różnych typów dramatu: klasyczno-francuskiej tzw. tragedii narodowej, schillerowskiego *Don Carlosa* i historycznych tragedii Szekspira, *Władysław Herman* — o ile można sądzić z zachowanego konsektu utworu — miał być utrzymany raczej w tradycyjnej konwencji dramatu klasyczno-francuskiego.

Z zupełnie innej sfery twórczości Korzeniowskiego pochodzi fragment opatrzony przez wydawcę tytułem: *Ciechocinek z r. 1852 w oczach Józefa Korzeniowskiego*. Stanowi on część początkową niedokończonego utworu narracyjnego pt. *Opowia-*

<sup>1</sup> Por. S. Kawyn, *Fragmety autografu „Bitwy nad Mozgawą” Józefa Korzeniowskiego*, „Prace Polonistyczne” S. XV, 1960, s. 155—171.

*dania nauczyciela elementarnego* (sygn. 6542), który powstał prawdopodobnie w związku z działalnością pedagogiczno-organizacyjną pisarza, sprawującego od r. 1848 obowiązki wizytatora, a potem członka Rady Wychowania w szkolnictwie Królestwa Polskiego. W r. 1850 napisał on *Instrukcję dla nauczycieli elementarnych*, w której kreślił idealny wizerunek nauczyciela wiejskiego, a chcąc zapewne żywiej i plastyczniej przedstawić jego sylwetkę, jako „wzoru we wszystkim dla tych, wśród których żyje”, podjął pracę nad utworem beletrystycznym. Ulubionym swym sposobem nadać mu pragnął formę utworu o budowie ramowej, której część pierwszą stanowi właśnie opis Ciechocinka, jego położenia, właściwości klimatycznych, urządzeń leczniczych, rozrywek towarzyskich, oberży Millera, przetrwałej w tradycji do dnia dzisiejszego, kuracjuszy, zwłaszcza zaś kuracjuszek. Opis to szczegółowy, pełny realiów, nie pozbawiony — jak to często u Korzeniowskiego-moralisty — ironii i sarkazmu. Z tej postawy krytycznej przebija jednak troska obywatelska o rozwój tak pożytecznej dla zdrowia miejscowości leczniczej — krajowej, lekceważonej, niestety, w kołach ówczesnej arystokracji, odwiedzającej tłumnie kurorty zagraniczne.

#### WŁADYSŁAW HERMAN. DRAMAT HISTORYCZNY

Po ucieczce Bolesława Śmiałego który po zabiciu świętego Stanisława jeszcze rok panował, a potem, niemili narodowi i sobie, do Węgier umknął, pozostały brat jego, Władysław, nie obejmował państwa i tytułu królewskiego, odjętego władcom polskim przez Grzegorza VII, w tym oczekiwaniu, że Bolesław wróci. Gdy jednak rozruchy, rozboje i gwałty w czasie bezrządu doszły do największego stopnia, gdy nadto książęta ruscy, a mianowicie Wasylko Rościszłowicz, książę trembowelski, opanował kilka zamków, a Węgrzy, może przez samego Bolesława lub syna jego pobudzeni, weszli do Polski i opanowali Kraków za pomocą kupy piasku obsypanej mąką, przez co dali poznać obleżonym, że mają żywności na długo i oblegać będą miasto bez końca, Polacy po odejściu Węgrów skłonili Władysława, że rządy i tytuł królewski przyjął. To ostatnie stało się na żądanie Henryka IV, cesarza, któremu Władysław w zatargach jego z papieżem Grzegorzem VII pomagał. A chociaż Klemens VII antypapa przez Henryka cesarza na złość Grzegorzowi na Stolicę Apostolską wyniesiony i przez połowę niemieckiego duchowieństwa uznany, broniąc praw tiary nie uznał Władysława królem i utrzymywał to samo, co Grzegorz postanowił, na wstawienie się jednak Wratysława, króla czeskiego, ojca Judyty, który w tej mierze napisał do niego list pokorny i zasługę zięcia swego przedstawiający, dał się, widać, ułagodzić, gdyż tytuł królewski Władysław Herman zatrzymał.

Interdyktem papieskim obrządku religijne za zabicie świętego Stanisława zakazane zostały. Było to najpierwsze staranie Władysława, że zapewne do papieża Klemensa, nie zaś, jak Długosz pisze, do Grzegorza VII wysłał Lamberta, biskupa krakowskiego w poselstwie o zniesienie interdyktu.

A choć Lambert był znajomy Grzegorzowi VII i w kurii rzymskiej miał swoją wziętość, nie mogli się zapewne kusić o dostanie się do Rzymu, który wówczas był obleżony, i zresztą byliby to ubliżenie Henrykowi, że Polacy nie uznają władzy jego papieża i udają się do jego nieprzyjaciela.

Władysław oczyściwszy kraj z łotrów domowych, a mając tylko jednego syna, Zbigniewa, z nieprawego łoża, postanowił ożenić się. Siostra jego Świętochna a żona Wratysława, króla czeskiego, poradziła mu poślubić Judytę, córkę swego męża, z Adelajdy, córki Andrzeja, króla węgierskiego urodzoną. Stryjowie księżniczki, Konrad i Otton, książęta morawscy, przywieźli ją z wielkim poczem panów czeskich do Krakowa, gdzie się wesele odbyło. Zbigniew, zapewne już wyrostek, gdyż nie wiadomo, z jakiej nałożnicy (scena jej z królem) i kiedy urodzony, dla niechęci królowej (kłótnia jej z królową, przekleństwo bezpłodności) wysłany był na ręce hrabi Magnumsa, gubernatora śląskiego i na granicy Saksonii w klasztorze starannie wychowany.

Syn Bolesława Śmiałego, a właściwy dziedzic korony, niepokoił Władysława. Sława rozchodziła się. Król węgierski, Bela I i babka Ryksa kochali go jako młodzieńca najrzadszych przymiotów ciała i duszy. Był to rycerz pierwszego rzędu, a że nieszczęśliwy i wygnany, tym większy w oczach tych, co się nad nim litowali. Król Władysław Herman postarał się, że go król węgierski do Polski odesłał. Wrócili więc pospołu z Mieczysławem, bratem królewskim. Władysław Herman dobra nieruchomości, zabrane dawniej na skarb, oddać im kazał synowcowi Mieczysławowi i bratu Mieczysławowi. (Scena pożegnania królewicza z królem węgierskim i babką, a może[?] i z kochanką jaką. Scena oddania mu dóbr, co jest drobnym wynagrodzeniem za utraconą koronę i niechętnie przyjęcie tego daru).

Nastąpiły pomyślniejsze okoliczności, ale bezpłodność Judyty trapiła króla. (Scena między nim a królową. Akt III). Modlitwy, jałmużny nic nie pomogły. Lambert doradza wysłać poselstwo z darami do Langwedoku do świętego Idziego, gdzie przy relikwiach tegoż mieszkali benedyktyni. Lambert był dawniej ich opatem (Scena z Lambertem i małżonkami). Wyprawiony Piotr, kapelan królewski, powiózł kielichy z czystego złota, srebro, złotolite materie i własnoręczny list królewski, w którym tenże wyraża, że „nigdy człowiek nie może się cieszyć zupełną szczęśliwością, że mu zawsze czegoś nie dostaje, że i on wśród powodzenia i wysokiego stanowiska, jakie zajmuje, nie ma tego, co Bóg daje biednym i małym, że zatem korząc się przed świętym męczennikiem, który słynie cudami, posyłając dary jego świątyni błaga jej stróżów, aby modlitwami swymi rozwiążali żywot jego małżonki i aby znikła ta niedola niepłodności, która domowi jego królewskiemu grozi pustką i zniknięciem”. Opat Langwedoku nakazał mnichom post trzydniowy, w ciągu którego jeden stary mnich objawił, że królowa poczęła. Stąd radość przy odebraniu tej wiadomości (Scena powrotu posła), dary dla duchowieństwa i benedyktynów tyńieckich i nadzieja bezpłodnych kobiet w interwencji świętego Idziego (w r. 1084 — w 1085 Judyta umarła urodziwszy syna we trzy dni połogu. Scena ostatnia drama[tu]). Świętemu Idziemiu w Krakowie ofiarowano kościół z pewną liczbą kanoników. (Tenże Władysław na zamku krakowskim ufundował katedrę pod nazwaniem świętego Idziego i dwudziestu czterech kanoników bogato uposażonych ustanowił. Urbe nie znaczy in castro, mógł więc Długosz i Bogułał mieć racją.) Innych ośm kościołów świętemu Idziemiu ufundował Władysław wdzięczny za syna.

Wielka była radość króla i dworu, gdy się syn, któremu z woli ojca dano imię Bolesław, urodził. Radość ta zamieniła [się] prędko w smutek, gdy królowa Judyta, powszechnie kochana za swe cnoty i przywiązana do narodu, we trzy dni po urodzeniu syna umarła. (Scena ostatnia, w której

królowi donoszą o śmierci żony, panowie i Lambert pocieszają. Marta, jego kochanka, która boso chodziła do syna Zbigniewa do Śląska, aby go nauczyć, jak ma się mścić swojej krzywdy, zakończy rzecz przekleństwem i przepowiednią, że ten syn będzie bohaterem, ale razem i klęską narodu, że go pokraje jak suknię starą i z ogromnej i pięknej szaty zrobi łachmany). Fundacje Judyty: kanonikat w hrabstwie czyli kasztelanii Chropii w Sieradzkiem, dziś Pabianice (kościół stoi dotąd); klasztor tyniecki uposażony wsią Książ-nice; kościołowi katedralnemu Władysławowskiemu (czyli na zamku krakowskim) dana na wieczne czasy kasztelania Łągowska w ziemi Sandomierskiej. Comitatus Castellania znaczny jedno — kasztelan, comes, tytuł niedziedziczony ani dożywotni, ale do urzędu przywiązany.

[Na tym autograf kończy się.]

[CIECHOCINEK Z R. 1852 W OCZACH JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO]

Sądzę, że na dziesięciu czytelników moich jest pewnie dwóch lub trzech takich, którzy znają Ciechocinek, którzy doznawali tam chwil przyjemnych i nudnych, którym chociaż nie miły był smak solanki i smak potraw, jakimi ich karmił Miller, miło im jednak wrócić myślą do tego miejsca, gdzie niejeden odzyskał zdrowie lub nadzieję zdrowia, a niejeden zrobił znajomość, która mu na całe życie została. W rzeczy samej miejsce to ma wszystko, czego potrzeba, aby mogło licznie [być] odwiedzane. Ma źródło zbawienne, ma położenie suche i zdrowe, ma łatwość komunikacji przez dotykającą je Wisłę. Brakuje mu tylko tego, czego u nas brakuje wszędzie, to jest: uznania przez nas samych, zamiłowania rzeczy naszej własnej, tego przekonania, że to, czym Bóg nas i ziemię naszą obdarzył, warto obrobienia, nakładu i pracy, aby wyrównało temu, co jest za granicą i dokąd my z taką furją i wycieńczeniem wszelkich sił lecimy. Pomimo tej obojętności, która jest powodem, że nasz kraj, nasz język, nasza literatura są rzeczami zaeuropejskimi, które nikogo nie obchodzą, tak jak mało obchodzą [nas] samych, że za granicami kraju mniej daleko są znane, niż żeby były w Chinach, Japonii lub Tartarii, zbiera się w Ciechocinku co roku kilkaset osób, które dla pewnych względów nie mogły wyskoczyć za granicę i rade nie rade, wstydząc się i nie przyznając się do tego grzechu w pewnych arystokratycznych kółkach, kurują się tu i bawią jak mogą.

Jak wiadomo, wiele tam jeszcze brakuje do przyjemności, a więcej jeszcze do wygody. Mieszkania są w małej liczbie i liche, nieopatrzone ani w meble, ani w pościel, ani w miejscową usługę i sprzęty kredensowe i kuchenne. Wszystko to trzeba przywozić z sobą lub przestawać na tym, co z łaski swojej i za wielką opłatę dadzą właściciele, a co jest bardzo niedostateczne; nawet dachy nie są tak szczelnie złożone, aby nie przeciekały w czasie deszczu i nie zmuszały mieszkańców migrować z jednego kąta w drugi lub siedzieć w pokoju pod parasolem. Oberże drogie są i nieporządne, karmią źle i, jak wszystkie oberże na całym świecie, dają jednakowy smak wszystkim potrawom i wszystkie jednakowym podlewają sosem. Opatrzone są tylko dostatecznie w szampana, wiedząc o tym, że lubimy to, co szumi i huka, tak jak huka i szumi w naszych głowach.. Oberża jednak Millera ma to pierwszeństwo przed swoją współzawodniczką, że jeżeli ma obiad obstalowany, to daje dobry i że sala jego, chociaż trzęsie się i tańczy wraz z tańczącą wiecznie publicznością naszą, jest jednak obszerna i czysta, może pomieścić liczne grono balujących i licznych słuchaczy na koncertach, które się tam dają. Teatrzyk w Ciechocinku mały jest, niski nadzwyczaj

i brudny. Najczęściej też bywa pusty, a gdy dla jakiej szczególnej okoliczności liczniejsza zbierze się publiczność, to się dusi od gorąca i od kopciuchowego oświecenia. Gra także i garderoba biednej tej kompanii, która tam występuje, nie może widzom wynagrodzić tej przykrości, jakiej doznają w tej niemiłej kąpieli, z której wyjście na chłód nocy i wiatr często tam panujący może narazić na katar i jaką gorszą jeszcze chorobę. Spacerów także mało, a te, co są, są nadzwyczaj jednostajne. Wieczne i codzienne chodzenie pod tężnię znuży najwytrzymalszego, a w innych miejscach jest piasek lub błoto, nie ma cieniu i zieloności, nie ma żadnego przygotowania do przyjęcia spacerujących, którzy by chcieli lub wygodnie wypocząć, lub się czym smacznym posilić. Brak tam zupełny tego rodzaju niemieckiej spekulacji, która u najmniej reputowanych wód za granicą stawia wszędzie samołówki na Silbergröschchen kurujących się gości. Dziwić się tedy nie można, że przy takim braku resursów do zabawy ogólnej, wspólnej i do której każdy mógłby znaleźć przystęp za ten miły grosz, który się składa przy wejściu, młodzi ludzie dla uniknięcia nudów piją potężnie — nie solankę, ale szampana i bawią się od rana do nocy — nie kartami książki, w której zawarta myśl poważna i wdzięczna mogłaby uspokoić ich krew i podnieść duszę, ale kartami malowanymi, których rzucanie ciągle w milczeniu i natężeniu najniższej namiętności, bo żądzy grosza bez pracy, niszczy skutek kuracji i wycieńcza głowę i kieszenie. Dziwić się także nie można, że kobiety młode i piękne, lubiące pokazać i siebie i swoją toaletę, biegną codziennie prawie do sali Millera, skoro ją obaczą oświeconą i tam tańczącą do godziny pierwszej i drugiej po północy, przekraczając wszelkie przepisy higieniczne i przywodząc do rozpacz miejscowego medyka, który o godzinie ósmej rano stoi zafrasowany przy źródle nie widząc żadnej z tych pięknych pacjentek, które wczoraj wystrojone, wygorsowane, z roziskrzonym okiem i śmiejącą się twarzą wywijają mazura lub upadały od wiru walca i magnetycznego zbliżenia w szalonej i niezmordowanej polce. Kiwając głową mówi o sobie w duchu: Teraz właśnie śpią, kiedy już mija pora najzdrowsza i dopiero między ósmą i dziewiątą przyjdą do źródła, gdzie połkną tylko pół szklaneczki solanki zamiast trzech lub czterech! One myślą, że jak się uśmiechną, to im wszystko daruję, że jak pójdą do kapliczki na mszą świętą, pomodlą się za to wykroczenie, jakie popełniły wczoraj, a które dziś znowu popełnią, skoro w sali Millera zapalone zostaną kinkiety, to im Pan Bóg przebaczy, że sobie i Ciecho[ci]nkowi szkodzą! Oj! grzesznice! grzesznice!

Zapewne, gościnność polska, częste obiady i wieczory w możniejszych domach, przybywających do Ciechocinka z całym zapasem kuchennym i kredensowym z bliższych tego miejsca okolic, wynagradza ten brak urządzenia, ten ogromny niedostatek ogólnej rozrywki, a nade wszystko wszelkiej wygody. Wszakże gdy się zaczną słoty tak w tej nadwiślańskiej stronie uparte i ciągle, przerywają się spaceru nawet pod tężnię, nie bierze ochota ani do wizyt, ani do uczt i kompanii liczniejszych i hucznych i jeśli kto ma dobrą książkę, to zabezpieczywszy się od powodzi w swym mieszkaniu, znalazłszy w pokoju swym przylądek suchy i bezpieczny od tych kropel, które z regularnością przywodzącą do rozpacz padają z sufitu, siedzi sobie spokojnie i czyta z zajęciem lub drzymie czytając, jeżeli to jest książka polska, albo gawędzi o rzeczach przeszłych i przyszłych z jakim dobrym znajomym, którego parasol obcieka tymczasem w sieniach i który z nudów zwycięży ulewę i przebrnął mokry piasek lub błoto, aby się jako tako rozerwać i samotności uniknąć.

W takiej to właśnie porze w roku 1852 byłem i ja w Ciechocinku. Liczna wówczas znajdowała się tam kompania. Mieliśmy wiele pań grzecznych i miłych z owej klasy zamożnej szlachty, która jeszcze zachowała

dawną polską otwartość, jeszcze mówi po polsku, listy pisze po polsku i spowiada się po polsku; mieliśmy kilku znanych i świątliwych gospodarzy, którzy wiedzą, co mają i co robią, nie spuszczaają się całkiem na swoich rządców i nie nazywają ich złodziejami; mieliśmy dosyć młodzieży także szlacheckiej, mianowicie z Kujaw i z Gostyńskiego, która chociaż pozwala sobie czasem przebyć jedną i drugą noc z waletem karowym i damą pikową, która wywija ochotnie mazura i wychyla dzielnie podługowaty i szumiący kielich, ale gospodaruje dobrze, nie odrzuca książki, zna nas wszystkich, którzy po kłosku do snopa literatury przyrzucamy i nawet w obliczu hrabiów i książąt nie wstydzi się ukłonić takiemu, z którego dziełem nie jeden słotny i jesienny tydzień przepędziła.

Póki więc była pogoda, przechodziły mi dni wesoło. Wstawałem rano, wypijałem wiernie swoją porcją solanki, rozmawiając to z tym to z owym, żartując to z tą to z ową, wysłuchując cierpliwie czasem komplementów takich, które mię wstydzily, czasem uwag takich, które mi były miłe, a czasem i takiej prawdy, która mię zrazu zabolala, a w końcu zawsze wyszła na dobre. I wychyliwszy z rezygnacją ostatnią szlaneczkę i skończywszy przepisana przechadzkę, wysłuchiwałem codziennie Mszy świętej w owej kapliczce, znajdującej się na końcu galerii, której postawienie tam, opatrzenie funduszem, aparatami i obrazami jest piękną, prawdziwie chrześcijańską i polską myślą, która by żadnemu Niemcowi nawet do głowy nie przyszła. Kto bywał u wód, wstawał rano i odbywał akuratnie swój kurs, wie dobrze, co to jest potem kawa, a po niej wypoczynek z interesującą książką w wygodnym krześle i z dobrym sygarem. I takie rozkosze zajmujące dwie lub trzy godziny miewałem także codziennie póki można było użyć ranku na świeżym powietrzu i na świeżym powietrzu, przejętym cząsteczkami soli, odbyć swą przechadzkę. Póki więc była pogoda nie dbałem o znajomości i wizyty, wiedząc o tym dobrze, że jak się słońce cokolwiek zniży i upał nie będzie dojmował, pójdę sobie znowu czy pod tężnię, czy ku Wiśle, czy w inną stronę i wszędzie spotkam kogoś, z którym miło mi będzie pomówić, na kogo przyjemnie będzie popatrzeć. O wieczory nie troszczyłem się, bo niektóre panie gościnne i uprzejme raczyły zawsze o mnie pamiętać, zresztą wstając rano i chodząc dużo, nie miałem ochoty do owych nadużyć antyhygienicznych, przez które nasz świat polski u wszelkich wód równie w kraju jak i za granicą psuje w wieczór to, co rano naprawia u źródła i na końcu wraca do domu bez zdrowia i bez pieniędzy [...]